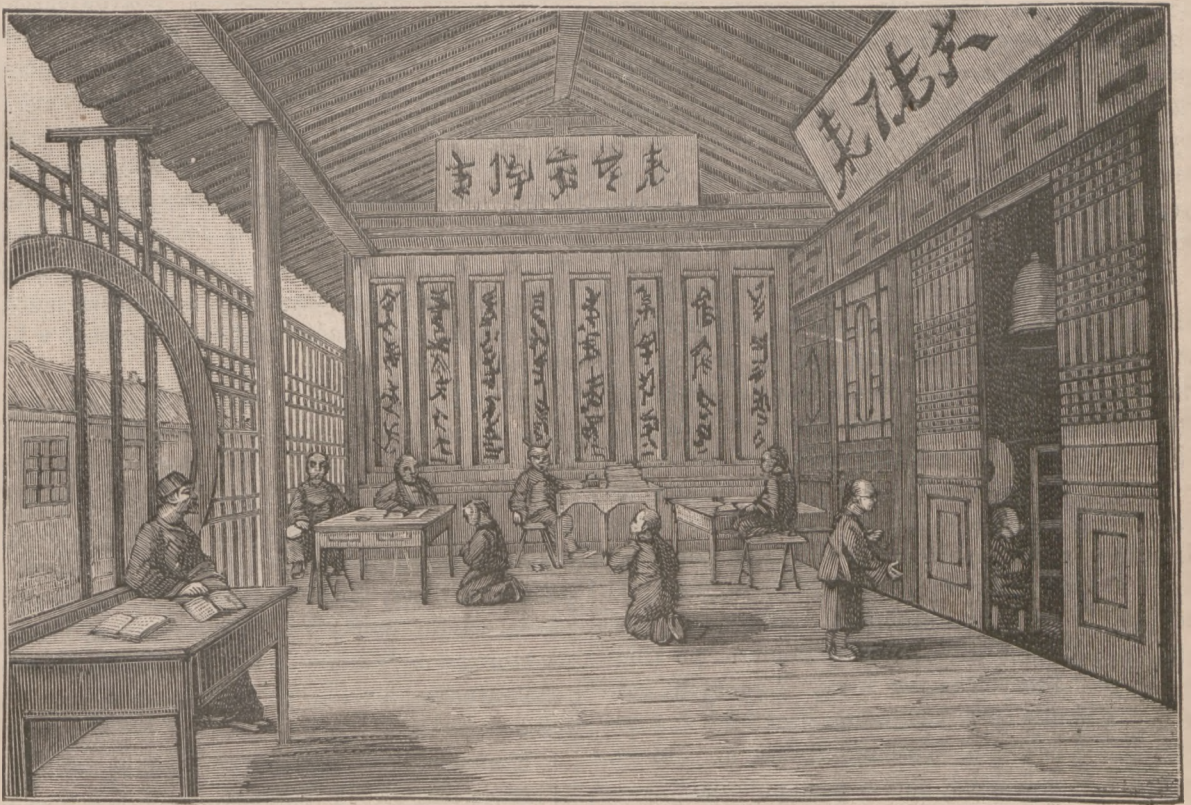


WIECZORY RODZINNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Szkoła chińska.

SZKOŁA CHIŃSKA.

Nauka w Chinach nadaje ludziom wielkie przywileje. Tam uczeni stanowią osobną klasę ludności, będącą w wielkiem poważaniu. Oni jedni mają prawo do wyższych urzędów w kraju; handel i rzemiosła pozostają dla tych, którzy nie odbyli porządnie nauk i nie zdali przepisanych egzaminów, dających stopień naukowy.

A nie łatwa to rzecz zostać takim chińskim uczonym. Dziwaczne pismo Chińczyków tak utrudnia naukę, że przez lat kilka pracować trzeba bez wytchnienia, ażeby się wyuczyć czytać. Pismo

to nie składa się z liter, jak nasze abecadło, tylko z dziwacznych znaków i figur, stawianych w prostopadłych rzędach z góry na dół, od prawej do lewej ręki. Znaków tych jest kilkadziesiąt tysięcy. Każdy przedmiot, każde pojęcie lub określenie, ma swój znaczek osobny; jest to zazwyczaj niezmiernie uproszczony wizerunek jakiego przedmiotu, który miewa także znaczenie przenośne. I tak np. słońce za drzewem oznacza *wschód*, ptak siedzący na gnieździe *zachód*, słońce i księżyc obok siebie *światło*, słowo *następować* wyraża się przez kilka figurek, idących jedna za drugą. Ponieważ te znaki nie wyobrażają wcale brzmień

takich, jak litery naszego abecadła, tylko znacznie wyrazów, to jest pewne pojęcia, można więc nauczyć się czytać i rozumieć pismo chińskie, nie znając ani jednego wyrazu chińskiej mowy; dość bowiem rozumieć, że taki znak wyobraża pewien rzeczownik, przymiotnik lub słowo, niema potrzeby wiedzieć, jakie ma brzmienie po chińsku każdy z tych wyrazów.

Wyuczwszy się czytać, trzeba znów przewertować ogromne księgi, zrozumieć i zapamiętać zdania wszystkich mędrców, którzy tam od wieków zapisywali swoje pomysły. Jedna taka encyklopedia obejmuje kilkaset ogromnych tomów, a niejedną dokładnie odczytać i spamiętać należy. Tym sposobem Chińczyk, strawiwszy większą część życia na wyuczenie się mądrości swoich poprzedników, nie ma już potem ani sił, ani ochoty do pracy samodzielnej, i nie też nowego nie przybywa do tych ksiąg zapleśniałych. Nauka utrzymuje się od wieków na jednym stopniu, ani na krok się naprzód nie posuwa, chociaż w każdej wiosce jest szkoła, a w każdym mieście biblioteka.

W Chinach niema ani roku szkolnego, ani wakacyj, szkoła jest ciągle otwarta. Codzień od wschodu słońca do dziesiątej godziny przedpołudniowej dzieci się uczą, potem idą na śniadanie, wracają około południa i pracują znów aż do piątej. W lecie niema lekcji popołudniu, odpoczynek ten zastępuje wakacje. Dzieci oddane do rzemiosła, uczęszczają na naukę wieczorem. Uczniów przyjmują do szkoły w każdej porze roku, bo każdy uczy się oddzielnie i niezależnie od innych. Niema klas osobnych, tylko nauczyciel, dla oszczędzenia sobie czasu, dobiera po kilku chłopców, których razem uczy. Nauczyciel rozpoczyna naukę od wskazywania liter i ich znaczenia, malec powtarza je za nim głośno, aż póki ich dobrze nie zapamięta, potem postępuje dalej.

Od czasu, gdy jeden z uczniów Konfucjusza, mędrca, który żył około V wieku przed Chrystusem, ułożył podręcznik do początkowej nauki, każdy Chińczyk spędza kilka lat życia nad tą książką. W szkole każdy wykrzykuje swoje lekcję, nauczyciel słucha czytania wszystkich uczniów i poprawia, jeśli się który omyli. Gdy już uczeń dobrze umie zadaną lekcję, przychodzi do nauczyciela, kłania się kilka razy, kładzie książkę na stole, odwraca się na znak uszanowania i lekcję wydaje. Nauczyciel zaznacza mu kilka nowych wierszy, aż się wyuczy tym sposobem wszystkich znaków pisarskich, potem przechodzi sto siedmdziesiąt wierszy, zawartych w księdze *San-Cy-Cyn*, następnie drugi podręcznik *Sy-Szu*, czyli cztery księgi klasyczne, nakoniec pięć ksiąg

świętych, *Cyn*, i na tém kończy się nauka ogólna, początkowa.

Pierwsza z tych ksiąg jest rodzajem encyklopedyi, zaczynającej się od słów: „Człowiek przed stworzeniem był świętym“. Potem jest tam mowa o teraźniejszej naturze człowieka, o potrzebie wykształcenia i nauki, rozmaitych sposobach nauczania, ważności obowiązków względem społeczeństwa, o trzech pochodniach nauki, o czterech porach roku, pięciu żywiołach i pięciu cnotach, dobroczynności, sprawiedliwości, posiadaniu własności, rozumie i prawdzie. Potem o sześciu gatunkach zboża, sześciu rodzajach zwierząt domowych, siedmiu występkach, ośmiu nutach muzycznych, dziewięciu stopniach pokrewieństwa. Nakoniec niektóre wiadomości z historii, a zwłaszcza porządek panujących po sobie w Chinach dynastyj, to jest rodzin cesarskich. Podawane są także dzieciom przykłady osób wślawionych w starożytności i zaszczytów, jakie zawdzięczali swęj pracy. Jest naprzykład podanie o mędrca, który nie mając papieru, pisał na łądogach bambusowych; o innym, który owinął warkocz swój około belki, dla podtrzymania głowy, gdy go sen morzył przy nauce; trzeci znów miał sobie wetknąć w bok oś rybią w tym samym celu i t. d.

Szkół dla dziewcząt niema w Chinach i kobiety po większej części czytać nie umieją. Główną tego przyczyną jest to, że kobiety wcześniej za mąż wychodzą, nie mogłyby więc poświęcać na naukę więcej, jak dziesięć lat, a to nie może wystarczyć na zgłębienie ksiąg mędrców. Bywają jednak kobiety, które pomimo tych przeszkód garną się do nauki i takie poważane są bardzo. Niektóre zdobyły sobie nawet niepospolitą sławę, jako autorki, filozofki, poetki, ale są to nieliczne tylko wyjątki.

Rysunek nasz przedstawia szkołę chińską. Widzicie tam dwóch chłopców kłęczących za to, że lekcji się nie nauczyli, lub figlowali w szkole, gdyż ten rodzaj kary jest używany u Chińczyków, tak samo, jak i u nas.

OLSZYŃN.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH AKTACH.

przez Sewerynę Duchiąską.

(Dalszy ciąg).

STAROŚCINA.

Siła też naszych było w tój wyprawie?

SKARBNIK.

Wszyscyśmy uszli, i bez szwanku prawie; Nasz Zbigniew tylko dostał szablą w czoło.

STAROŚCINA.

I on był z wami?

SKARBNIK.

Oj, bieglci wesoło

Na bój ze Szwedem, jakby na biesiadę;
I wnet po walce, choć na lica blade
Krew mu zbiegała niby sznur koralu,
Marném się słówkiem nawet nie pożali;
A gdy wracała zwycięzka drużyna,
Śpiewał z drugimi pieśń: *Salve Regina*.

ZOFIA (na stronie).

Biedny mój Zbigniew!

CHORAŻY (do starościny).

Siostrze, dawno pono,

Gwiazda już płonie za chmury osłoną,
Rychłóż podzielim opłatek pospołu?

STAROŚCINA.

Już od godziny nakryto do stołu,
Niby w stajence wkoło rozesłano
Pszeniczne snopy i mięciuchne siano,
Uczta gotowa: ależ jak Bóg w niebie,
Człek, syt boleścią, zapomniał o chlebie!
(*Słychać hałas w dziedzińcu, wchodzi Janusz,
który wyszedł przed chwilą*).

CHORAŻY (do Janusza).

Co tam nowego?

JANUSZ.

Dwaj podróżni kmiecie

Proszą o nocleg, bo zamieć na świecie
Powstała straszna; nie dopatrzeć drogi.

CHORAŻY.

Niech straż ich wpuści tu w zamkowe progi,
Może nam wieści przynoszą ciekawe.

STAROŚCINA.

Może to zdrada!

CHORAŻY.

Daremną obawę

Wybijże sobie, pani siostrze, z głowy;
O co rzecz idzie zmiarkujemy z mowy,
A gdyby zdrada wyjrzała z ich lica,
Czyż to nie mamy lochu Borkowica?

Scena IV.

Ciż sami BYLINA, CHMIELEWSKI, przebrani za
kmieci; za nimi JANUSZ.

BYLINA (wchodząc).

Bądź pochwalony Chrystus.

CHORAŻY.

Na wiek wieka,

Zkądże Bóg wiecie?

BYLINA (kłania się).

A jużci z daleka.

CHORAŻY (zamyka drzwi i przypatruje się bacznie przybyłym).

Panowie bracia! wszyscyśmy tu swoi,
Niechaj się zdrady żaden z was nie boi;
Coś mi powiada, że siermięgi szare
Skrojone pono nie na waściów miarę:
Kogoż powitać ma bratnia drużyna?

BYLINA.

Zgadliście, panie, jam Michał Bylina,
Towarzysz znaku chorągwi królewskiej.

CHMIELEWSKI.

Jam na usługi Stanisław Chmielewski,
Z pułku dragonów pana Kasztelana.

CHORAŻY (kłaniając się).

A jam Ligęza,

(Do Byliny).

Cóż u króla Jana

Słychać na Szląsku?

BYLINA.

Król w Halickiej ziemi

Rozłożył oboz z rotę koronnemi,
Już za trzy doby stanie u bram Lwowa,
Byle dotrwała tylko Częstochowa;
Mam dla przeora pieniądze i listy.

CHORAŻY.

Jutro szturm walny...

BYLINA.

W dzień tak uroczysty!

CHORAŻY.

Szwed świętokradzca czarną uknuł zdradę;
Ze nic nie wskóra, w zakład głowę kładę.

(Do Chmielewskiego).

A pan Czarniecki rychłóż się tu zjawi?

CHMIELEWSKI.

Może za dobę!

CHORAŻY.

Niech Bóg błogosławi

Szczęśliwym wieściom.

(Do przybyłych).

Siądziecie u ogniska,

(siadają).

O! przesilenia godzina już bliska.
Z nad głowy naszej odwróci Pan gromy!
Wszak dowód Jego opieki widomy
Nad świętym grodem.

BYLINA (powstając).

Czas, bracia, czas wielki!

Domu naszego zachwiały się belki:
Kraków już w gruzach, Poznań i Warszawa
Drżą pod żelaznym ramieniem Gustawa.
Już Brandeburczyk, jak sęp, wlepił oczy
W kraj Wielkopolski, a Jerzy Rakoczy
Zaostrza zęby na Chrobaczkę wzgórze!
Wnet z Siedmiogrodu spadnie tu, jak burza,
Janusz Radziwiłł, dłoń Szwedom przychylną,

Kornie, jak żebrak, wyciąga po Wilno.
 Już resztki naszej puścizny bogatej
 Zwycięzką ręką drze Gustaw na szmaty;
 Bohdan z kozactwem przewodzi w Lublinie,
 Kraj cały zmienion w stepy i pustynie.
 Widziałem, bracia, smutne zgorzeliska,
 W kościołach płomień biesiadniczy błyska,
 Z ust do ust krążą kościelne kielichy,
 Szwed świętokradzca, pełen grzesznej pychy,
 Z naszych świętości urąga bluźnierczo!
 Rzędem przy drodze szubienice sterczą,
 Jak drogoskazy, a wiatr w nocną ciszę,
 Wyschlęmi trupy z szelestem kołyszse;
 Trupy to naszych obrońców i braci!

ROTMISTRZ.

Ich poświęcenie Bóg w niebie zapłaci.

STAROŚCINA.

Biada nam!

WOJSKI.

Biada!

BYLINA.

Dziś wszystko się zmienia!

Niosę od króla słowo przebaczenia
 Dla wiarołomców, byleby w tej chwili
 Zwycięzkie Szweda znaki porzucili.
 O! niech kto żyje pod Tyszowce zmierza,
 Tam wieje sztandar króla Kazimierza!
 Tam nasz Czarniecki wnet jak orzeł zleci,
 Z zastępem zbrojnych husarzów i kmieci.
 I wnet marszałek Lubomirski Jerzy
 Na czele dziarskich góralów uderzy;
 Tam szlachta, z płonnych nadziei odarta,
 Po chrzcie z krwi własnej, odrzeknie się czarta,
 I póty walczyć przysięgnie wytrwale,
 Aż wygna srogie za Baltyk Wandale!
 Niech z niedobitki płynąc na korabli,
 Pomni król Gustaw, że nie ostrzem szabli
 Utrzymać naród w niezachwianej wierze.

SKARBNIK.

On w obietnice grał z szlachtą nieszczerze,
 Istnie jak w kości; pierzcha mgła omamień,
 Kosa na twardy natrafiła kamień.

CHORAŻY.

Pyszny Gustawie! pomniesz w ciężkiej dobie,
 Co siwy kapłan przy Łokietka grobie
 Wyrzekł proroczno, jak nowy Jeremi!
 Jam patrzył na to: stał Gustaw ze swemi
 Zbrojni, pochmurny, z przysłonią głową,
 Kaganiec ciemność rozjaśniał grobową;
 Z szyderczym śmiechem zanurzył wzrok dumny
 W kamienne wieko Łokietkowej trumny.
 „Czyjesz to prochy?“ zapyta zuchwało,
 Aż głuchym jękiem sklepienie obrzmiało.
 „To grób Łokietka, stary kapłan powie,
 Co trzykroć władał, w koronie na głowie,

Puścizną Piastów, i trzykroć wygnany,
 Rzucił król tułacz stare ojców ściany;
 Aż na potężną zdobywszy się wolę,
 Hartownym duchem pokonał złą dolę:
 Odbił tron Piastów i po trudach wielu,
 Sędziwą głowę złożył na Wawelu“.
 Zaśmiał się Gustaw: „Nie zawsze, zawoła,
 Strącony wieniec przystaje do czoła;
 Wasz Kazimierz Waza, tułacz w obcej stronie,
 Już nie zasiędzie na Jagiełłów tronie,
 Bo moje prawa ta stał zabezpiecza“.
 I chwycił Gustaw za rękojeść miecza.

Jak grom te słowa na obecnych spadły,
 A stary kapłan, od zgrozy pobladły,
 Wyciągnął rękę i rzecze: „Bóg waży
 Losy narodów i losy mocarzy“.
 Zadrzał zwycięzca, krew zbiegła mu z lica,
 Głucho o ziemię szcęknęła szablica,
 I pychą słońiąc ślad ciężkiej obrazy,
 Stał nad grobem ostatniego Wazy.

Jak liść zadrzałem i szedłem na stronę,
 Wtém słyszę słowa: „Pod Twoją obronę“.
 Spojrzę, tuż w cieniu sklepionej arkady
 Klęczy zakonnik, jak zjawisko bładny;
 Padł, twardym krzyża przywalon ciężarem,
 Oko mu dziwnym płomienieje żarem:
 Znać moc nadziemską wnet duchem zawładnie,
 Kaptur z nad czoła zsunął się bezładnie,
 A na obliczu taka jasność pała,
 Jakby duch wolny proch otrząsnął z ciała
 I widział Boga w Jego majestacie:
 Był to Kordecki!

SKARBNIK (zdziwiony).

Nasz przeor!

CHORAŻY.

Tak, bracie!

Może w tej chwili Niebieska Królowa
 Słała mu w duszę tajemnicze słowa,
 Bo leżał krzyżem pół martwy, bez ruchu,
 Aż gdy król nadszedł ocknął się na duchu,
 Powstał co żywo, skrył oczy kapturem,
 I jakby widmo, za sklepionym murem
 Bielił się chwilę i zniknął w omroczy.
 Jużem go odtąd nie widział na oczy,
 Bo gdy król szwedzki rozpostarł w swobodzie
 Zwycięzkie rządy w starym Piastów grodzie,
 Uszedłem skrycie tu, w Olsztyńskie mury,
 Gdzie mi kaganiec świeci z Jasnej Góry;
 Póki to światło połyska w oddali,
 Pótyśmy bracia bezpieczni i cali.
 Za dobę losy rozstrzygną się nasze,
 Co bądź Bóg zrządzi, ja oreż przypaszę,
 Zdam Januszowi załogę zamkową,
 Wdzieję kolczugę, i na wasze słowo,

Przez znane w lasach steczki i manowce,
Z zbrojnym orszakiem ruszam pod Tyszowce;
Niech żyje Kaźmierz!

WSZYSZY.
Niech żyje król prawy!

CHORAŻY.
Wnet go powiedziem w chwale do Warszawy,
Czarniecki drogę szablą nam otworzy.
Przeczekam dobę, pojutrze o zorzy
Ruszam z mą wierną drużyną przy boku.
(*do Janusza*).

Ty strzeż zamczyska, jak żrenicy w oku,
Bóg ci pomagaj.

BYLINA (*z zapalem*).

Tak, królu nasz drogi,
Powracaj śmiało w święte ojców progi,
Po ciężkich trudach twa dziatwa strapiona,
W twe rodzicielskie garnie się ramiona.
Bóg przyjął twoje łzy cenne jak złoto,
Któremiś płakał nad krajem sierotą,
Gdy powstrzymawszy twe kroki pielgrzymie,
Widziałeś Kraków w płomieniach i dymie.
Stojąc w Bielanych na odłamie skały,
Odblaskiem łuny twe lica gorzały;
Widziałem, w niebo wzniosłeś ręce obie,
I łkając głucho w serdecznej żalobie,
Zdałeś w opiekę pokornemi słowy
Koronę z berłem Niebieskiej królowej;
A skoro gwiazda twa z zmierzchu wypłynie,
Przyrzekłeś królu po całej krainie
Twojej miłości plon rozsiać bogaty,
Na ciche dworki i włościńskie chaty.
Królu! już chwały wybiła godzina,
Marya twe modły zaniosła do Syna!

STAROŚCINA.

Biedny Jan Kaźmierz! wyroki nieznane
Dały mu dźwigać berło ołowiane.
Wszakci zaledwie po królewskim bracie
Młody monarcha siadł na majestacie,
Kłęski na naród sypnęły się gradem.
Wcześniej Bóg wyrzył na tém czole bladém
Znamię niedoli! Pomnę ja te lata,
Gdy Bóg Zygmunta powołał ze świata,
A król Władysław z koroną na głowie,
Bogarodzicy niósł hołd w Częstochowie.
Wstąpił król z braćmi tu, w bramy Olsztyna,
Pomnę, jak sierot dostojnych rodzina,
W owęj komnacie zasiadła w około;
Kaźmierz ku ziemi już pochylał czoło,
Jakby odgadnął, przeczuciem wiedziony,
Kolące ciernie swęj przyszlęj korony.

BYLINA.

Dzisiaj nadziei zabłysła mu gwiazda!

CHORAŻY.

O tak! wnet orzeł powróci do gniazda,
Nie wątpić o tem.

BYLINA (*żywo do Chmielewskiego*).
Czas nam ruszać dalej.

STAROŚCINA.

Na taką zamieć?

CHMIELIWSKI.
Słota nas ocali

Przed okiem Szweda.

CHORAŻY.

Janusz wam ukaże,
Gdzie macie minąć Wejerowe stráže;
Taka wyprawa!... oj to nie przelewki!

STAROŚCINA.

Spożyjcie z nami choć łyżkę polewki.

BYLINA.

To niepodobna, lecz wstąpił z powrotem.

CHORAŻY.

Dajcież oplatki co żywo, a potem
Ruszajcie z Bogiem!

SKARBNIK.

I ja pójdę z wami,
BYLINA.

Gdzie?

SKARBNIK.

Do obozu, z przeora listami.

BYLINA.

A ja z królewskim pismem do przeora.

CHORAŻY (*patrząc na zegar*).

Piąta dochodzi, właśnie sama pora:
Staniesz przed świtem.

STAROŚCINA (*przynosi paczkę oplatków, i tamie się
kolejno ze wszystkimi*).

Dosiego wam roku!

BYLINA (*przetamując oplatek, do Starościny*).

Życzmy wzajem.

CHORAŻY (*podając oplatek do przelamania*).

Bodajby z pomroku

Słońce nad biedną zabłysło krainą.

WOJSKI (*tamiąc się z innymi*).

Abyśmy za rok bezpieczni z rodziną,
Obchodzić mogli owe święte gody.

(*Do Zofii, podając jej oplatek*).

By nam łzy oschły, i z krasą jagody
Zakwitły nową.

(*Stychać pieśń, naprzód w oddaleniu, potem coraz
bliżej*).

STAROŚCINA (*przysłuchując się*).

Cóż to?

CHORAŻY.

W przeddzień święta,

Na wzór pastuszków drobne pachołęta,

Pobożną pieśnią czczą Dzieciątko Boże;
I my też bracia klękniemy w pokorze.
*(Klękają wszyscy dokoła, słysząc śpiew pacholąt
za sceną).*

Tam w zielonéj dąbrowie
Pasą wółki w parowie;
Pastuszkowie trzój mali,
Całą nockę czuwali.
Wiatr dąbrową szeleści,
I radosne im wieści
Z nieba głoszą anioły:
Niech świat będzie wesoły,
Bo Dzieciątko w tój dobie
Narodziło się w żłobie.
Chwała w niebie, o chwała! —
Pieśń aniołów zabrzmiała, —
Pokój niesiem dla ludzi,
Kogo życie utrudzi,
Kto się smuci, boleje,
Bóg mu zsyła nadzieje.
Bo w stajence śpi dziecię,
Co rozniesie po świecie,
Za cierpienia w nagrodę:
Pokój, miłość i zgodę.

BYLINA *(powstając z innymi).*

Pod dobrą wieścią puszczamy się w drogę.

ZOFIA *(na stronie).*

O! ja się z nimi weselić nie mogę!

CHORAŻY *(wskazując w okno).*

Patrzcie! ot gwiazda wybiega z za chmury,
I błyska światło z wieżyc Jasnogóry.

SKARBNIK.

Szczęśliwa wróżba, witamy ją radzi;
Bywajcie zdrowi.

CHORAŻY, STAROŚCINA I WOJSKI.

Niech was Bóg prowadzi.

Koniec aktu pierwszego).

LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! Zdziwisz się może, iż w czasie wakacyj, gdy wszyscy czytelnicy naszego Pisma po całorocznój pracy wypoczywają, i radziby zapomnieć na czas jakiś przynajmniej o egzaminach wszelkiego rodzaju, ja właśnie w liście dzisiejszym o tym przedmiocie mówić zamierzam. Nie będę jednak broń Boże opowiadał o egzaminach, które sam zdawałem przed wakacjami, nie jestem tak zarozumiały, abym miał sobie wyobrazić, że moje osobiste sprawy zajmować mogą wszystkich czytelników. Idzie tu o egzamin nie-

zwyczajny, nie byłem na nim czynną osobą, tylko świadkiem. Dziwisz się, nieprawdaż, siostrzyczko, zkąd mi to przyszło tak poważną rolę odgrywać. Ba! powinnabyś się domyślić, że występowałem w charakterze sprawozdawcy „Wieczorów Rodziny”.

Szanowny dyrektor Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych przysłał mi bilet zapraszający na popis uczniów tego zakładu. Rzecz to była niezmiernie zajmująca, jak się sama przekonasz, bo opowiem ci o ile potrafię najdokładniej wszystko, co widziałem i słyszałem.

Mnóstwo osób zebrało się w obszernéj sali Instytutu, otworzyły się wkrótce drzwi w głębi i weszła liczna gromadka uczniów i uczennic. Wszystkie oczy ciekawie się na nich zwróciły; co do mnie przedewszystkiem z pewnym podziwieniem spostrzegłem, że ta młodzież, tak ciężkim kalem dotknięta, nie wygląda jednak wcale zbiedzona i smutna. Na twarzach ociemniałych maluje się głęboki spokój, głuchoniemi zaś mają wyraz ożywienia i szczeréj wesołości. Można by ztąd wysnuć dużo uwag moralnych dla tych, którzy nie umieją znosić cierpliwie drobnych cierpień i dolegliwości; widok ten musi także wzbudzić uwielbienie dla tych zacnych osób, które miłosierdziem swem i opieką umieją osłodzić taką niedolę.

Popis rozpoczął się odśpiewaniem modlitwy, Ojcie nasz Moniuszki, przez chór ociemniałych. Potém szanowny dyrektor Instytutu, pan Papłowski, opowiedział w krótkich słowach dawniejsze i teraźniejsze dzieje zakładu. Czytelnicy naszego Pisma mają już o tém niejaki wyobrażenie z opisu, zamieszczonego niedawno w „Wieczorach Rodziny”. Muszę tu jednak zaznaczyć z przemowy pana dyrektora niektóre szczegóły ciekawsze, które mi pozostały w pamięci. Trzeba wiedzieć, że oprócz wychowauców stałych, zamieszkałych w zakładzie, przyjmowani są także niekiedy uczniowie i uczennice, przychodzący tylko na wykłady. Ci byli także na popisie, odznaczali się tém, że nie mieli mundurków, ale poubierani byli w suknie rozmaitego kroju i koloru. Otóż wyobraź sobie, siostrzyczko, że nie zdarzyło się nigdy, aby którekolwiek z tych dzieci, mieszkających czasem w najodleglejszych dzielnicach miasta, nie przyszło lub nawet spóźniło się na lekcję, bez jakiegoś bardzo ważnego powodu. Podczas gdy my tak często lekceważymy naukę, one czują i pojmują dobrze, jak wielkiem ta nauka jest dla nich dobrodziejstwem i garną się do niéj z zapałem.

Zakład nie tylko nauki daje wychowaucom, ale i możność zarobkowania; głuchoniemi wycuczają się rozmaitych rzemiosł, ociemniałi głównie muzyki. Tak jedni, jak i drudzy, a zwłaszcza ocie-

mniali, potrzebują jednak troskliwej opieki i później, po ukończeniu zakładu, ubożsi potrzebują też nieraz i pieniężnego zasiłku. Fundusze zakładu nie wystarczają na to i potrzeba było ze składek utworzyć osobną kasę zapomogi.

Niektóre osoby miłosierne przeznaczyły na ten cel kwoty pieniężne, wydawane zwykle na przyjęcie gości przy obchodzie imienin. Zdziwiłem się gdy pan Dyrektor wymienił znaczną bardzo sumę, która rokrocznie wpływa z takich ofiar. Miło to jest zapewne podejmować w dzień imienin grono krewnych i przyjaciół, spędzić z nimi wesoło kilka godzin, ale miliej jeszcze powiedzieć sobie, że zrzczeniem się tej chwilowej rozrywki można przynieść ulgę nieszczęśliwym. Przyszło mi też na myśl, jakby to dużo można zebrać gdyby połowa tylko czytelników naszego Pisma, a nawet trzecia, czwarta część, zechciała użyć w ten sposób pieniędzy, przeznaczonych na podarunki i łakocie przy obchodzie imienin. Rodzice przystaliby na to z pewnością, zresztą możnaby na ten cel poświęcić tylko jakąś część wydatków, a i tak jeszcze zebrałoby się nie mało, gdyby się na to złożyła znaczna liczba osób. Ziarno do ziarnka, a będzie miarka. Nasza redakcja pośredniczyłaby w tym chętnie miłym swym prenumeratorom, a zarząd Instytutu przyjąłby pewnie z wdzięcznością najdrobniejsze kwoty.

Po ukończeniu przemowy pana Dyrektora rozpoczął się popis. Najpierw głuchoniemi mówili. Tak, mówili, takiego cudu dokonali zacni i umiętni wychowawcy. Kalectwo to jest bowiem właściwie głuchotą tylko, ale dziecko, które wzrasta nie słysząc głosu ludzkiego, nie może się nauczyć mówić. Łatwo sobie wyobrazić, jakich starań, jakiej cierpliwości niezmordowanej potrzeba na to, aby jedynie przez wskazywanie sposobów poruszania ust i języka, wyuczyć taką biedną istotę wymawiania wszystkich głosek, składania z nich wyrazów i zdań całych. Głos głuchoniemych jest ostry i niemiły, a jednak doskonale zrozumieć ich można. Każdy z nich uczy się czytać, nazywać różne przedmioty w codziennym życiu używane, a co więcej, uczy się bardzo wprawnie wyczytywać z poruszenia ust mowę innych osób. Pan Dyrektor i nauczyciele odbywali z uczniami i uczennicami zakładu rozmaite próby; mówili głośno i cicho, lub tylko poruszeniem ust wymawiali różne wyrazy i zdania, a głuchoniemi, wpatrując się uważnie w mówiących, czy to wprost, czy z boku, powtarzali najdokładniej każdy wyraz, każde zdanie.

Może kto zapyta, po co tym biednym ludzimi ta sztuczna mowa, skoro mogą między sobą rozmawiać na migi, a z innymi porozumiewać się

przez pismo? I ja tak dawniej sądziłem, ale wysłuchawszy przemowy pana Papłońskiego, zrozumiałem, jak wielka ztąd korzyść dla nich wypływa. Głuchoniemi, jak wspominałem wyżej, uczą się rzemiosł rozmaitych, a wyszedłszy z zakładu przyjmowani są do terminu przez majstrów. Taki majster nie miałby czasu porozumiewać się ze swym terminatorem przez pismo, woli on słyszeć głos jego niezbyt przyjemny, a do niego mówić poruszeniem ust. Głuchoniemi mogą też często mieć do czynienia z ludźmi nie umiejącymi czytać i pisać, jakżeby sobie z nimi dali rady, gdyby nie umieli wymawiać wyrazów?

Pan Papłoński, który zwiedził wszystkie podobne zakłady zagraniczne, przekonał się naprzykład, iż we Francji, gdzie głuchoniemych uczą tylko mowy migowej, wychowawcy zakładu nigdy nie mogą dostać zajęcia u rzemieślników, jedynie z powodu trudności porozumienia się z nimi.

Ociemniali popisywali się muzyką na skrzypkach i fortepianie, i śpiewem chóralnym. Grali także i dawniejsi wychowawcy Instytutu, dziś już ludzie dorośli, zawsze jednak pod opieką zarządu zostający. Chór dźwięcznych i dobranych głosów odśpiewał piękną kantatę dziękczynną, skomponowaną i ofiarowaną dyrektorowi Instytutu przez dawnych wychowawców. Wdzięczność tych ludzi za doznane dobrodziejstwa rozrzewniła niezmiernie publiczność.

Ociemniali uczą się także czytać i pisać, ale domyślasz się, że muszą mieć do tego osobne zupełnie litery wypukłe. Piszą w małych kratkach, lub wykałają na papierze litery, które tym sposobem są wypukłe ze strony odwrotnej.

Nakoniec nastąpiło rozdanie nagród, przyznanych jak zwykle za pilność w naukach i dobre sprawowanie, ale były także i niezwykle nagrody, tak zwane koleżeńskie. Wyobraź sobie, siostreczko, że w każdej klasie uczniowie i uczennice sami tę nagrodę przyznają kolegom i koleżankom najbardziej kochanym. Ten, kto po owym wybranym lub wybranej najwięcej ma głosów za sobą, wręcza nagrodę koledze lub koleżance z uściskiem serdecznym. Był to widok tak rozrzewniający, że dużo osób pomiędzy patrzącymi od łez wstrzymać się nie mogło. Głuchoniemi dostawali w nagrodę książki w ozdobnych oprawkach, ociemniali paczki bakalii, a ubożsi pieniądze na kosztą podróży do rodziców na wakacje.

Na zakończenie popisu otwarły się w głębi sali podwoje, ukazała się kaplica z ołtarzem oświetlonym i kapelan zakładu odśpiewał hymn „Te Deum“. Jednak szczerze wyznaję, że nie tylko w tej chwili, lecz przez cały czas popisu doznawałem takiego wrażenia, jak gdybym był w do-

mu Bożym. Bo też naprawdę kierownicy tego zakładu, w każdym czasie, tak przy modlitwie, jak i przy dobroczynnej swjej pracy, zawsze i wszędzie pełnią prawdziwą służbę Bożą. Wyobraźmy sobie, coby się stało z tą liczną gromadką kalek, dziś tak bezpieczną, spokojną, gdyby jej nagle zabrakło tej miłosiernej opieki? Trzebaby także przedstawić sobie, czém oni byli przedtém, zanim je przygarnęła ta opiekuńcza instytucja. Odcięci od świata, pogrążeni w ciemnościach ducha, gorszych stokroć od ciemnoty zmysłów, nie wiedzieli nic, ani o Bogu, ani o bliźnich, nie mieli w ciężkiej niedoli swjej żadnej pociechy ani osłody. Wielu też przytém najstraszniejsza nędza przygniatała. Cóż dziwnego, że teraz, gdy tyle serc zacnych czuwa nad nimi, wszelkich dokładając starań, aby im ulgę przynieść, nie znać już na nich śladów cierpienia i wyglądają spokojni, szczęśliwi, nawet weseli.

Po skończonym popisie publiczność zwiadała sale, w których wystawione były wyroby wychowalców zakładu. Nie będę jednak nad tém się rozwodził, gdyż dawniej kiedyś opisywałem szczegółowo wystawę tych wyrobów, urządzoną staraniem zarządu. List mój dzisiejszy już i tak jest nieco za długi i mógłby znudzić łaskawych czytelników. Spodziewam się, że im to wynagrodzą inni korespondenci naszego Pisma, spisując rozmaite wycieczki odbywane w czasie wakacyj. Zwłaszcza stały nasz korespondent z Zakopanego będzie miał teraz zapewne dużo ciekawych rzeczy do opowiadania, bo niepodobna przecież, aby tam ustawicznie deszcz padał. Może i korespondenci z Troickosawska pod Kiachtą wybiorą się latem na jaką dalszą wycieczkę w głąb Azji i podzielać się wrażeniami swojemi z czytelnikami naszego Pisma. Wzywamy wszystkich młodych podróżników, aby nam przesyłali opisy swoich przygód.

Bywaj zdrowa, siostrzyczko kochana,
twój przywiązany brat

Kazio.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FAŁI.

przez M . . a.

Wieża w Kazimierzu Dolnym.

W guberni Lubelskiej, na prawym brzegu Wisły, w położeniu tak pięknym, że zachwycone oko podróżnika płynącego wiślaną falą oderwać się od tego widoku nie może, wznoszą się dziś jeszcze olbrzymie zwaliska potężnego zamku z ogromną wieżą okrągłą, sterczą gruzy obszernych

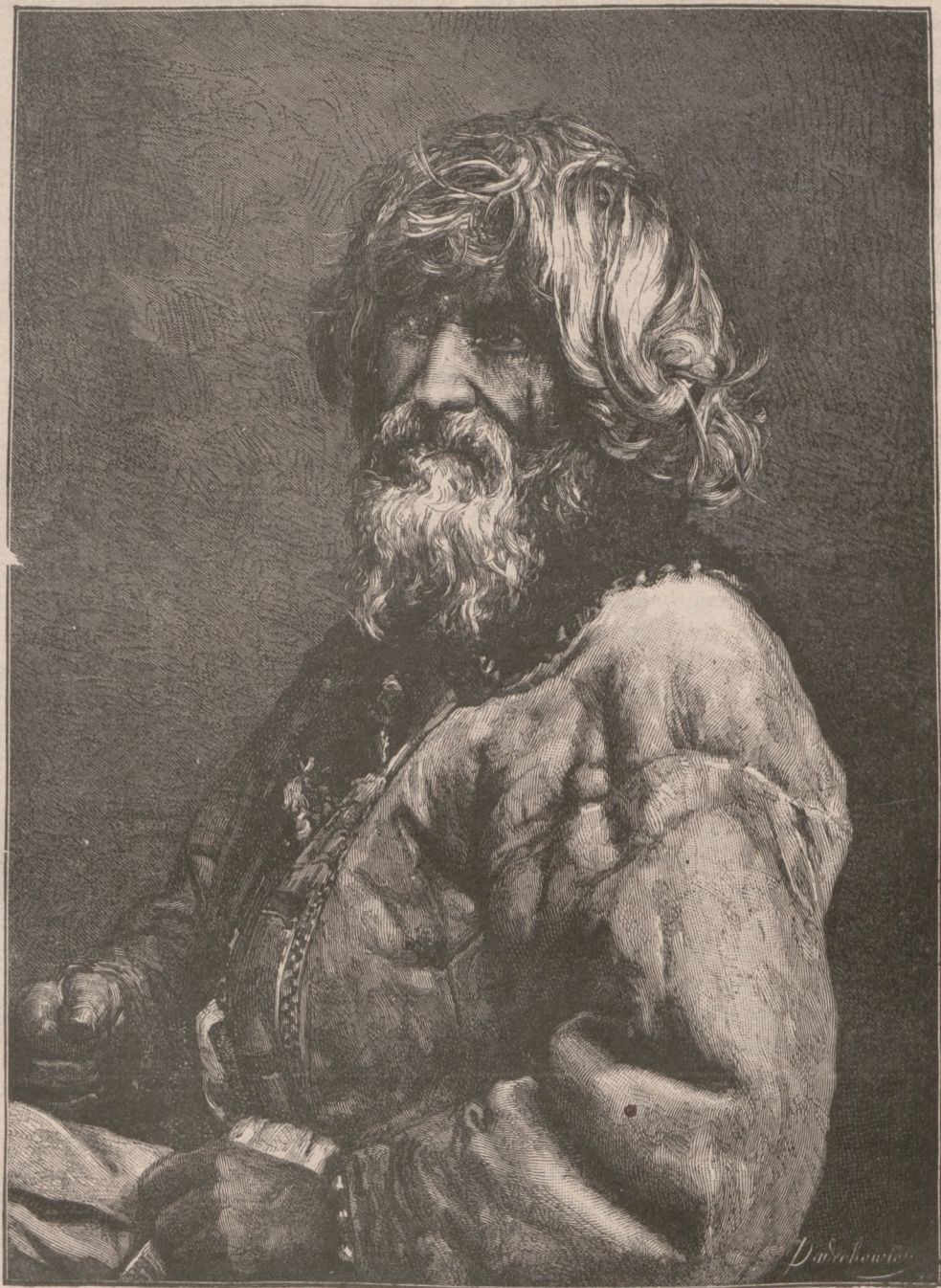
śpichrzy, stoją krzepko trzy starożytne kościoły i trzy wspaniałe, silne a pełne wspomnień kamienice; kilkadziesiąt nowożytnych, mniej więcej nędznych domostw i klatek tuli się do stóp tych gruzów pięknych i okazałych; to zbiorowisko starożytnej potęgi i świeżej nędzoty, to Kazimierz Dolny.

Ta rozległa gromada gruzów była niegdys miastem tak znakomitým, że zwano je małym Gdańskiem, z powodu jego ważności handlowej. Przedmiotem głównym handlu było zboże. Kazimierz Dolny założony był przez Kazimierza Wielkiego, który też wybudował tu sobie zamek, dziś w gruzach leżący, z pyszną, panującą ponad nim strażnicą; Kazimierz Wielki także zbudował tu śpichrze, które następnie pomnażały się przy wzrastającym handlu i zamożności miasta, tak, że w wieku XVII było ich już kilkadziesiąt. Dziś wielki obszar ziemi w południowej części miasta połączony jest gruzami tych gmachów.

Przyczyną upadku Kazimierza były najprzód wojny szwedzkie, a następnie klęski rozliczne krajowe. Zawsze jednakże zamek Kazimierzowy, zbudowany na górze, obronny i warowny, a ponad nim okrągła wieża strażnicza, służąca także niegdys za więzienie, górują nad całą okolicą, jak góruje ponad całą Polską wspomnienie ich założyciela, który zastał ją drewnianą, a zostawił mury. Tak wyglądają rozległe gruzy Kazimierza Dolnego dzisiaj, ale wyglądały niegdys wcale inaczej.

Okolica wprawdzie była też sama, piękna i świeża, jak dzisiaj bywa o wiosennych porankach, ale miasto świetne i kwitnące zamożnością i życiem, z ruchem ogromnym dokoła, tak na lądzie jak na Wiśle, odróżniało się od dzisiejszego niezmiernie. Na wyniosłej, zielonej górze, rozsiadł się zamek, w tak potężne zwarty mury, tak silnie obronny, tak niespożyty, że tylko wprawne oko i badawczy umysł mogą się dzisiaj domyśleć tych jego przymiotów, i tego, że tylko liczne i ciężkie klęski i burze spowodowały jego upadek. Śpichrze stały też ogromne, a gruntowne i silne, jak wszystkie mury, ręką króla chłopków dźwignięte.

Pewnego lata wczesnego ranku, o wschodzie słońca, panował u stóp miasta, a mianowicie śpichrzów ruch zdwojony, acz nigdy go tu nie brakło naprawdę; ani mniej ani więcej. Jak siedm dużych, doskonałych statków, stało przed śpichrzami rzędem, a cały tłum wprawnego, wesołego ludu, wynosił ze śpichrzów i pakował starannie na statki ogromne wory ze zbożem różnego rodzaju, które Polska przez swój mały Gdańsk, swemu dużemu Gdańskowi dostawiała na wyżynie dalekich światów. Wesołe, rażne okrzyki



Wzór do rysunku.

flisaków i robotników rozlegały się w wiosennych wietrzykach, przy plusku srebrnych fal, całe wybrzeże roiło się ludem, a poważny głos dzwonów z wysokich wieżyc licznych kościołów, odzywał się z wolna i wyraźnie w czystych powietrznych przestrzeniach, jakby błogosławiąc błogo w drogę polski chleb, wysyłany głodnemu światu. Właściwa robota była skończona, teraz miano już wyruszać.

Wszyscy żeglarze stanęli na właściwych miejscach na statkach, pomosty łączące je z wybrzeżem znikły w jednej chwili, ostatnie urywane okrzyki pożegnania, zamienione pomiędzy płynącymi i pozostającymi na brzegu ich rodzinami, umilkły równie, jak ostatnie uderzenia jakichś młotów i skrzyp liny, czy piły nagła cisza zaległa, a wśród niej tém wyraźniej dał się słyszeć

szelest chorągiewek barwistych, powiewających wysoko na statkach i gwar wiosenny ptactwa i dzwonów nieustające błogosławieństwo. Na raz wszystkie czapki spadły z głów i rozpoczęło się na wyniosłym wzgórzu, tuż na brzegu, w maleńkiej, otwartej na wszystkie strony kapliczce, nabożeństwo na intencją szczęśliwej podróży. Cisza była przez czas nabożeństwa taka, że dla uszu ani jedna najmniejsza modlitewka ptaszęca, nie przepadła którą ptaszekie nucili, przysiadłszy na kaplicznym malutkim krzyżyku.

W tém kapłan pobłogosławił, nastąpiła chwila gwaru, potem jeszcze jeden podwójny od brzegu i od statków okrzyk, zabrząkło, zaskrzypiało, plusnęło, huknęło i statki ruszyły z ostatnim hucznym, jakby ze stu i więcej moździerzny hukiem: „Szczęśliwej drogi, bracia”!

Statki popłynęły, lud począł się rozchodzić z wybrzeża. Dzwony umilkły. Ptaki tylko świągotały ciągle. Chwile takie były bardzo zwyczajne dla mieszkańców Kazimierza, handlowego, bogatego, szczęśliwego miasta, którego synowie od lat najmłodszych w żegludze i w handlu zbożowym szukali utrzymania i uczciwego a wesołego życia. A że Wisła to nie ocean, że niema tam co obawiać się burz, trąb wodnych i t. p. okropności, przeto miłą i jedną z najmilszych na świecie bywała żegluga na Wiśle, i odjazd każdy tak, jak i dzisiaj, swobodny bywał i wesoły, wcale nie tak, jak w innych krajach przy wyruszaniu na rozległy ocean.

Może tak, a może inaczej właśnie, myślał sobie niedużego wzrostu, ale krzepki, pięknie ubrany pan, patrzący na to wszystko dość uważnie, acz z boku, ponad wybrzeżem stojąc; stał on tam już oddawna, patrzył uważnie tak, jakby to jego zboże tam płynąć miało, a od tłumu całego odróżniał się tém, że przy błogosławieństwie nie ukląkł, jeno ledwo że czapki ruszył.. Dla tłumu, którego synowie i mężowie w drogę tę właśnie ruszyli, chwila to była zbyt ważna, aby tam na kogoś obcego zważać miano. Nie zważano też. A jednak kilku towarzyszy tego nieznanego wielkie mu okazywało uszanowanie, tak wielkie, że go to aż zniecierpliwilo; gniewnym ruchem przeto odpędził ich od siebie i dopiero sam jeden spokojnie i uważnie przypatrywał się statków odpłynięciu. Nikt tam na niego nie zważał, ale gdyby kto był zważał, toby każdy się był zdumiał opryskliwością jego z owymi dworzanami która raczej nie na zacne pańskie obejście, ale prędzej na jakąś pyszną dorobkiewiczowską butę wyglądała. I owi też dworzanie, czy towarzysze, dziwni jacyś byli, bo miny i fantazyje mieli od stu bomb, a ofuknięcie przyjęli pokornie, jakby żaden

brat szlachcic nie przyjął. Bo tak właśnie było, że tylko co przed nabożeństwem w chwili, gdy ów pan patrzył bystro kędyś na statek najbliższy zbliżył się doń jeden z owych dworzan i począł mówić:

— Jaśnie wielmożny panie wojewodo!... — a drugi:

— Mości panie Poznański!...

— Poszli precz!... — odmruknął pan cicho, lecz gniewnie, i owi zagadujący go poszli jak zmyci; a tegoby żaden porządny brat szlachcic tak znówu przecież nie zniósł!... Tymczasem ów dziwny pan wojewoda tém uważniej, gdy mu już nie przeszkadzano, przyglądał się temu, co działo się w owej chwili w kącie, na owym tuż przed nim stojącym statku, a tam działo się to, że jakiś stary szlachcic, niby ojciec lub stryj, żegnał się z młodzianem odjeżdżającym, a przy tém pożegnaniu zdjął z siebie trzos tęgi, którym się młodzian następnie opasał. Potem stary wrócił na ląd, nabożeństwo się odbyło, statki odpłynęły, i lud się rozszedł.

Pan wojewoda poznański odszedł także i zwolna krocząc skierował się ku miastu, aż wszedłszy na ulicę Senatorską, znikł w głębi pięknej, do dziś tam stojącej kamienicy. Tu, liczny dwór poskoczył na jego usługi, gdyż pan wojewoda poznański, Maciej Borkowicz, był jednym z najbogatszych, jeżeli nie najznakomitszych panów owoczesnych. Podróżował on właśnie z wielkim sumptem i ogromnym dworem, jadąc z Poznania do Krakowa, i stanął gospodą w najpiękniejszej kamienicy w Kazimierzu, dla chwilowego spoczynku w długiej podróży. Spoczywał tam ów pan i dwór jego dni dwa i dłużej miał jeszcze pozostać, codziennie bywając w mieście, a potem polując w okolicy, gdyż pan wojewoda wielkim był polowania miłośnikiem i w ten sposób zużytkowywał czas koniecznego dla sług i koni zwłaszcza spoczynku.

Tymczasem statki zbożem naładowane płynęły chyżo i wesoło po srebrnych falach wiślanych, aż dopłynęły do miejsca, w którym Narew do Wisły wpada. Tu zaczęto wolniej płynąć, gdyż miejsce to przy dość niskiej wodzie i wielkim napływie piasku, naniesionego falami Narwi z jej dna piaszczystego, bywało niebezpieczne częstokroć, tém bardziej, że gwałtowny w témże miejscu nurt Wisły wyrwał tam znów potężne przepaści tuż koło owych piaszczystych nasypów. Dopływał tedy uważnie do owego miejsca najpierwszy statek ładowny zbożem, gdy nagle ujrano dużą i silną krypę, gwałtownie pędzącą Narwią ku Wiśle; najpierwszy spostrzegł ją i krzyknął ów młodzian, który to trzosem od starego ojca czy stryja wzię-

tym opasywał się przy wypłynięciu statków z pod Kazimierza. Równocześnie spostrzegli niebezpieczeństwo wszyscy, ale zanim najmniejszy ruch ku ratunkowi można było uczynić, już krypa owa, pędząc jak koń rozhukany, wpadła na statek, a wśród straszliwego krzyku znajdujących się na nim ludzi. Uderzenie było tak silne, że przednia część statku strzaskaną została. Zrobiło się straszne zamieszanie, zwiększone jeszcze zapadającym zmierzchem, z czego korzystając, szalona krypa znikła wkrótce, uciekając z biegiem Wisły z całych sił, zapewne ze strachu przed odpowiedzialnością.

Wypadek był tak niepojęty i niesłychany, że wszyscy potracili głowy. Statki dopiero we dwa dni później mogły wyruszyć w dalszą drogę, przelożywszy część ładunku z rozbitego na inne, resztę, co jeszcze dało się wyratować, musiano złożyć na brzegu. Poczem pozostawiwszy uszkodzony statek, inne popłynęły dalej. I wtedy dopiero spostrzeżono brak jednego człowieka, a to właśnie owego młodzieńca, który pierwszy krzykiem ostrzegł towarzyszy o dziwnym, a tak nagłym niebezpieczeństwie, i który się na rozbitym statku znajdował. Niepodobna było zatrzymywać się długo, jeden więc tylko jeszcze dzień poświęcono na szukanie młodziana, napróżno, poczem już tylko polecono szukać dalej dwom ludziom, pozostawionym na brzegu, dla przypilnowania złożonej na nim części ładunku.

Ale jeden z tych ludzi, natychmiast po odpłynieniu towarzyszy, najął konia w najbliższej chacie i nie słuchając przełożeń zdziwionego towarzysza, powrócił jak mógł najprędzej do Kazimierza, gdzie odszukawszy ślad owego starego szlachcica, który żegnał się z zaginionym młodzianem, opowiedział mu zaszły wypadek. Stary ojciec, mało nie odszedł od zmysłów ze zmartwienia, a gdy oprzytomniał o tyle z boleści, że myśli mógł zebrać, dodał z gorzkim płaczem, że straciwszy jedynaka, dziedzica swój chudoby, nie będzie już miał i z tą chudobą kłopotu, gdyż młodzian wiozł z sobą spory grosz sąsiedzki, powierzony mu na zakupy, a którą to przepadłą sumę on teraz właścicielom zwróci:

— O tém to ja chciałem się dowiedzieć, po to tu przyjechałem — powiedział kiwając głową stary flisak.

— O czém? — pytał biedny ojciec.

— A o tém, czy wasz syn nie miał przy sobie dużych pieniędzy... — odrzekł flisak; i opowiedział, że ma dziwne podejrzenia na ową nieznaną i tak dziwnie postępującą krypę, a to dla tego, że od lat czterech już to trzeci człowiek ginie w dziwny, jakkolwiek nie w tenże sam sposób na Wiśle,

a zawsze człowiek ten duże ze sobą wiezie pieniądze...

Uderzony poddaną mu myślą stary ojciec chwycił się gwałtownie; od razu przypomniał sobie, że rozboje lądowe, zagęszczone od niedawna, zaczynają już i po Wiśle się rozpościerać, i natychmiast poszedł do urzędu miejskiego, gdzie doniósł co zaszło i swoje podejrzenia wypowiedział. Stary flisak towarzyszył mu, wymógłszy tylko, że poszli skrycie i w nocy. To jego dziwne postępowanie zwróciło ogólną uwagę, a wtedy na zadane mu pytania flisak odpowiedział, że on sam stracił syna, nie na wodzie lecz na lądzie wprawdzie, ale także w skutek rozboju, że odtąd pilnie śledził często zdarzające się tego rodzaju wypadki przez lata całe, aż teraz pewnym już jest głównego ich sprawcy, jakkolwiek żadnych na potwierdzenie słów swych, nie ma dowodów.

Wezwany do wyraźniejszego mówienia flisak, przystąpił do pytającego i pocichu na ucho same powiedział mu jakieś nazwisko, na które tamten odskoczył, jak oparzony. Sądono z razu, że flisak zmysły postradał, a potem, że miał zawziętość jakąś na osobę, którą jako herszta band rozbojniczych lądowych i wodnych wymieniał. Wytłomaczono mu, na jak ciężką karę się narażał, rzucając tak straszne podejrzenie na znakomitą osobę ze stanu szlacheckiego. Ale gdy stary flisak stał wciąż przy swoim a rzecz była ważna, bo rozboje zagęszczały się coraz okrutniej od jakiegoś czasu, tedy po długiej naradzie okuto najprzód w dyby flisaka oskarżyciela, który poddał się temu najchętniej, a potem dopiero posłano z wiadomością i po rozkazy do Krakowa.

Ale i tam po długim namyśle nie wiedziano, jak sobie poradzić w tak nadzwyczajnym wypadku, w którym bez dowodów trzeba by targnąć się na cześć szlachecką. Wtedy stary flisak, ciągle w więzieniu trzymany, a ciężko rozżalony za własnym przed laty straconym synem, poddał znowu sposób nowy, choć prosty, do wyśledzenia prawdy. Z jego więc porady wszedł raz stary zaufany strażnik do więzienia jednego rozbójnika, jakich chwymano nieraz, nie mogąc wszakże przez to zapobiedz rozbojom, bo nigdy tam jeden drugiego nie wydał; do takiego tedy dawno schwytanego a milczącego rozbójnika wszedł stary jego dozorca i rzekł radośnie:

— A przecież skończyło się wasze panowanie, ptaszkowie krukowie, kiedyśmy nareszcie na gorącym uczynku schwytali waszego herszta... — i wymienił dozorca owo tajemnicze nazwisko znakomitej osoby, które wprzód stary flisak do ucha urzędnikowi poszepnął. Usłyszawszy je,

rozbójnik aż się cofnął ze zdziwienia i przestraszu, a po chwili, machnąwszy ręką, rzekł:

— Ha, kiedy tak, to skończona rzecz; to powiedzże tam waszmość urzędowi, aby mię teraz pytano, to już będę wszystką prawdę mówił, żeby mi karę złagodzano, kiedy już nie ma nadziei, żeby mię z tą od was koledzy odbili...

Dla tego zaś tak mówił ten człowiek, że istotnie istniał pomiędzy rozbójnikami jakiś tajemniczy związek pomocy wzajemnej; nieraz przy przeprowadzaniu więźniów, towarzysze zaczajeni odbijali i porywali ich, i na to też każdy schwytyany rachował, milcząc przeto dla tej nadziei zawzięcie i nigdy nie wydając towarzyszy. Ale na ten raz podstęp starego flisaka udał się wybornie; zwiędziony rozbójnik wyśpiewał wszystko, przekonany, że z ujęciem herszta już cała banda przepadła.

Skutkiem tedy dobrowolnych zeznań odważono się dopiero działać przeciw wielkiemu panu, na którym oddawna dziwne ciążyły podejrzenia, tak dziwne, że im do ostatniej chwili trudno było dać wiary. Silne zbrojne oddziały ludzi chwyciły wielkiego pana, polującego butno i dworno, i otoczyły zamek jego, i dopiero gdy rodziny zginionych w rozbójniczych napadach ludzi popoznawały różne klejnoty w lochach owego dworca warownego, gdy sam nareszcie ów pan, przekonany dowodami, odrzuciwszy wykręty, nagle przyznał się zuchwale, że się zabawiał r ozbojem, wtedy dopiero uwierzyli wszyscy, że pan wojewoda poznański, Maciej Borkowicz, był rozbójnikiem na wielką skalę. Przez dziwne niedbalstwo porzucony, znalazł się w pańskim dworcu ów trzos pusty teraz, którym to, gdy był ładowny, opasywał się ów młody szlachcic na statku w Kazimierzu stojący, na chwilę przed nabożeństwem.

Po ujęciu wojewody poznańskiego rozboje ustały od razu. Przeprowadziwszy zatem pod silną strażą niebezpiecznego tego człowieka do miasta Kazimierza, osadzono go w owej okrągłej wieży zamkowej na wyniosłej górze, której to wieży do dziś widzimy stojące wspaniałe i potężne, nawet w upadku częściowym zwaliska. Tu, Maciej Borkowicz, po ściśłym przeprowadzeniu jego strasznej sprawy, przekonany o publiczne rozboje i o nadużycie zaufania króla został skazany na karę tak straszną, że tylko owoczesne i ogólne pod wszystkimi rządami i we wszystkich krajach istniejące zwyczaje i kary, okropność ową tłómaczą. Z tej wieży, gdzie wedle podania był więziony, przeniesiony do zamku Olsztyńskiego w pobliżu Częstochowy, w po dziś dzień ukazującym lochu, skazany na śmierć głodową, Maciej Borkowicz konał dni czterdzieści o wiązce siana i wiadrze wody..

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Widząc zdziwienie wywołane ostatnimi słowami, wódz opowiedział swym przyjaciółom, że skutkiem bardzo dawnych nieporozumień popadł on w niełaskę króla Sebetoana. Król ten przeto, nie mając zwyczaju przebaczać, rozkazał by go natychmiast zabić, skoroby tylko go w ręce dostał. Nareszcie wódz zapewnił swych młodych przyjaciół, że oni na swych doskonałych koniach mogą łatwo uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa, odalając się natychmiast.

Wspaniałomyślny William krótko i węzłowato odrzucił tę pocziwą radę. Jego towarzysze czynili toż samo, i wszyscy starali się dodać odwagi zgnębnemu wodzowi.

Następnie Makora wezwał swych poddanych, aby myśleli o własnym ocaleniu, a jego pozostawili losowi. Wtedy okazała się w całym blasku zacność tego plemienia; wszyscy Makalolosowie powstali jak jeden, oświadczając, że są gotowi żyć i umrzeć tylko przy boku wodza Makory.

Po raz to pierwszy myśliwi mieli przed sobą niezwykle widok wodza zasmuconego szczerze dowodem miłości swoich podwładnych.

Dziękując im serdecznie, Makora prosił usilnie aby zjednali sobie łaskę króla Sebetoana, przyprowadzając mu wodza Makorę jako więźnia.

Makora prosił napróżno; Makalolosy odrzucili poświęcenie się wodza.

XXXV.

Samolubstwo.

Młodzi myśliwi, głęboko wzruszeni, rozmyślali nad sposobem odwrócenia nieszczęścia które nie chcący ściągnęli na zacnego Makorę i całe jego nie mniej zacne plemię.

Najprzód więc radzili, aby Makora ze swoimi ludźmi schronił się do Bakuensów, którzy byli także gałęzią tegoż samego narodu Beczuanów, a mieli swe siedlisko w pobliżu. Makora odpowiedział na tę radę, że Bakuensy nigdyby ich nie przyjęli i nie obronili, przed potężnym Moselekatsem, a nawet że sami dla zjednienia sobie jego łaski, wymordowaliby ich niechybnie.

Potém myśliwi radzili Makorze, aby pojechał z nimi żyć spokojnie na południu, gdy jego pokolenie tymczasem podda się władzy Sebetoana. Wódz odpowiedział, że woli tysiąc razy umrzeć,

niż opuścić tych, którzy względem niego, okazują tyle szlachetności. Zresztą, nie był pewny czy jego plemię w takim razie dostałoby się szczęśliwie do ziemi pradziadów. Co krok czyhali Matabelesowie, a dzieci, kobiety i trzody, są straszliwą przeszkodą w odwrocie, i opóźniają go okropnie. Domysły Makory sprawdziły się natychmiast. Straszne ognisko zapłonęło na równinie, i wrzaski dzikich nawoływań rozległy się niedaleko. Oczywiście wydawał je nieprzyjaciel.

Noc upłynęła w okrutnym niepokoju, ale o świcie znikły obawy, na widok dwóch ogromnych wozów krytych płachtami, na około których przechadzały się konie spętane i woły.

Taki widok ożywił ducha uciekających, bo musieli to być albo kupcy, albo biali myśliwi. Młodzieńcy nasi udali się natychmiast do tych nieznanych przybyszów i wkrótce serdecznie powitali się z właścicielami wozów. Jak można się było domyślać, była to gromadka kupców którzy wyjechawszy z Natalu *) powracali teraz do Urbanu po wycieczce na północ. Kupcom towarzyszyli słudzy, Kafrowie z Natalu i Beczuani z północy.

Młodzi myśliwi skorzystali z tej sposobności, aby kupić prochu, kul i niektórych innych przyborów potrzebnych, gdy pomimo odległości usłyszeli wielką wrzawę we własnym obozowisku, wywołaną krzykiem i gestami Makory który im towarzyszył. Makora miotał się jak szalony i wrzeszczał na swoich ludzi chociaż ci oddaleni byli o pół mili. Młodzi towarzysze przedewszystkiemi chwycili za broń i obejrzeni się na wszystkie strony, sądząc, że Matabelesy grożą nową napaścią. Ale nic nie było widać. Nareszcie, gdy już Makora porozumiał się ze swemi ludźmi na migi i wrzaski, dopiero myśliwym wytłómaczył przyczynę gwałtownego wzruszenia.

Kilku krajowców służących od kilku dni dopiero u tych podróźnych kupców, pochodziło z kraju Sebetoana, a więc byli ziolkami plemienia Makory. Od nich to dowiedział się wódz, że przed kilku dniami umarł król Sebetoan, pozostawiając rząd narodu Makalolosów córce swojej Ma-Mocizanie.

A więc, skutkiem takiego wypadku zniknęły przeszkody do spełnienia najbardziej upragnionych życzeń Makory. Teraz o to już tylko chodziło, aby Matabelesowie nie stanęli zbyt potężną liczbą na drodze plemienia powracającego do ojczyzny.

Makora natychmiast rozkazał związać obóz.

Jego podwładni pewni teraz, że znajdują nakoniec spokojne schronienie, zabrali się do drogi z gorączkowym pośpiechem.

Gromadka kupców podróźnych składała się z trzech handlarzy białych i z dziewięciu służących, krajowców afrykańskich, doskonale uzbrojonych. W chwili obecnej pomoc tych zbrojnych ludzi była mocno pożądaną dla młodych myśliwych. William w prostocie serca, sądząc po sobie, pewien był, że nikt nie może odmówić drugiemu, czegoby sam mógł pragnąć dla siebie, bez żadnych omówień wręcz zawiadomił kupców o niebezpieczeństwie, grożącym jemu i jego przyjacielom, dodając, że zapewne wkrótce uderzy na nich przeważna siła Matabelesów. Równocześnie wyraził im radość swą z ich przybycia w tak ważnej chwili.

Zacny William przekonany był, że tą szczerą opowieścią pozyska serdeczne względy kupców dla nieszczęśliwego plemienia, i że mu zapewne jak najrychlej pomoc swą ofiarują. W poczciwej swój prostocie William przysiągłby był, że inaczej być nie mogło.

A otóż ku wielkiemu jego zdumieniu następstwa owego zwierzania zupełnie były odmienne od tych, jakich się spodziewał. Śpiesznie, ani chcąc słuchać nic więcej, kupcy zajęli się zaprzęgnięciem wołów do wozów... w dziesięć minut później karawana szybkim krokiem dążyła na południo-wschód, ku Port-Natalowi.

Kupcy owi, jak się okazuje, nie byli z tych ludzi, którzy zdolni są poświęcić, mienie swe i życie dla dobra innych. Własne ich bezpieczeństwo wymagało istotnie, aby się oddalili jak najprędzej od ludzi zagrożonych nieszczęściem.

Gdyby nawet młodzi miłośnicy przygód mieli zamiar opuścić Makorę w tej chwili ostatecznej, to oburzający postęp białych kupców byłby ich od tego odwrócił. Zresztą popłoch kupieckiej karawany bardzo dobrze wpłynął na wszystkich, pobudzając do energii i pośpiechu nawet kobiety i dzieci. Wszyscy wiedzieli, że ich czeka podróż długa i trudna z nieprzyjacielem na karku, i uzbrajali się w odpowiednią wytrwałość. Nawet psy zdawały się ogólną sprawę rozumieć i gwałtownie biegając na wszystkie strony pilnowały podobno, aby nikt nie pozostał w tyle. Zdawało się, że długi i szybki pochód aż do późnej godziny nocej, oddalił trochę niebezpieczeństwo. Nic nie zwiastowało pogoni, a więc myśliwi zaczęli przypuszczać że może dzicy ich prześladowcy odstąpili od swego zamiaru. Jakkolwiek jechali konno, byli daleko więcej zmęczeni, niż Makalolosowie, przyzwyczajeni do tego rodzaju śpiesznych podróży:

*) Port Natal i port Urban są to dwa porty kolonii Przylądka, na stronie wschodniej w Afryce południowej, nad oceanem Indyjskim, jeden w pobliżu drugiego, Natal na północ; Urban na południe.

— „Tylko zły i szalony ucieka, gdy go nikt nie goni“ — myśleli słowami Pisma i mieli wielką ochotę zaprzestać ucieczki.

Ale Makora innego był zdania. Lękając się przykrój niespodzianki, dopilnował on ściśle drobnych środków bezpieczeństwa na noclegu. Sam ustawił liczne i czujne straże, nigdy jeszcze od początku odwrotu wódz nie okazywał takiego niepokoju.

Myśliwi zdziwieni tym niepokojem, bez szczególniej przyczyny na pozór, zapytali o nią wodza za pośrednictwem Konga.

Makora wyjaśnił im raz jeszcze, że wojownicy Moselekatsego nie mogli spocząć przed dokonaniem przedsięwzięcia. Jeżeli zwłóczyli pomstę, to tylko w oczekiwaniu na posiłki, naciągające z różnych stron. Zjednoczywszy się, będą za potężni, aby gromadka Makory, oprzeć się im mogła. Gdyby Makora mógł uniknąć napaści, dostałby się we dwa dni do ziemi Makalolosów, gdzie teraz byłby bezpiecznym. Dla tego używał wszelkich możliwych ostrożności, aby przez te dwie doby zabezpieczyć swój lud i swych białych przyjaciół.

Nazajutrz o świcie zwinęto obóz i ruszono dalej z jaknajwiększym pośpiechem. Henryk Arend i Hans niechętnie towarzyszyli Makorze, w przekonaniu, że najniepotrzebniej uciekał.

— Mniejsza o to — mówił William — jeszcze dwa dni cierpliwości a przybędziemy do nieznanej, ciekawej nadzwyczaj krainy.

Po południu jednak nagle ważne wskazówki dowiodły słuszności obaw Makory. Gromada Matablesów zjawiała się naprzeciw uciekającego pokolenia, ale nie czując się na siłach, uciekła w inną stronę. Niezadługo straże, zamykające pochód, przypadły gwałtownie do wodza oznajmiając, że nieprzyjaciół w znacznej liczbie zbliża się od tyłu. Nie pozostawało teraz żadnej wątpliwości, że siły Moselekatsego zjednoczyły się. Makora i myśliwi zgodzili się teraz na jedno, że dalsza ucieczka była niemożliwą i że przed upływem dwudziestu czterech godzin walka rozpocząć się musi.

Ponieważ napaść wśród pochodu mogła stać się bardzo niebezpieczną, przeto trzeba było koniecznie zatrzymać się, wybrawszy odpowiednią miejscowość obronną. Takiej miejscowości w pobliżu nie było, Makora tedy, uważając, że jeszcze najkorzystniej będzie stanąć nad rzeką, wydał natychmiast odpowiednie rozkazy.

XXXVI.

Obłędzenie.

Makalolosy stanęli nad rzeką, dopiero na godzinę przed zachodem. Wróg musiał być blisko;

przygotowano się na jego przyjęcie. Henryk i Arend, korzystając ze swych wiadomości strategicznych, udali się naprzód, dla obejrzenia i wybrania miejscowości. Przypadek sprzyjał na ten raz uciekającym.

Trochę powyżej miejsca w którym dotarli do brzegu, rzeka zakręcała się w kształcie podkowy, tworząc w ten sposób przylądek, który w czasie deszczów i wezbrania wody zamieniał się w wyspę. Łacha ta wązka i nie głęboka w tym miejscu była suchą na przestrzeni pięćdziesięciu metrów; tam umieszczono trzody.

Makalolosowie co prędzej rozłożyli się w tej miejscowości, niedostępnej. Napaść mogła nastąpić tylko od strony tego kawałka ziemi, łączącego przylądek z ziemią, a szerokiego na pięćdziesiąt metrów zaledwo.

Na brzegu u przylądka wznosiło się olbrzymie drzewo, które zdaniem Henryka wzrastało tam od wieków po to jedynie, aby być narzędziem ocalenia dla nich.

Był to baobab jedno z najdziwniejszych drzew lasów afrykańskich. Zdarzają się baobaby, mające dziewięćdziesiąt stóp obwodu przy podstawie, i odpowiednią wysokość. Drzewo to jest tak miękkie jak głąb kapuściany; mówią, że na nic nie jest przydatne. Ale myśliwi innego byli zdania.

Pomiędzy przedmiotami zabranemi z domu, znajdowały się dwie siekiery, z którymi oni oczywiście umieli się dobrze obchodzić:

Drzewo postanowiono ściąć i umieścić w je w poprzek owego międzymorza, łączącego ziemię z wyspą, uczynić z niej barykadę bardzo przydatną do obrony. Facetan przyniósł siekiery i myśliwi zabrali się do roboty na przemiany. Za każdym ciosem żelazo znikało grzeznąc w miękkim i gębczastem drewnie. Ten brak oporu drzewa był korzystną także okolicznością, bo myśliwi przekonani byli, że od powalenia tego króla lasów przed przybyciem wrogów zależało ocalenie. A wróg był nie daleko: młodzieńcy musieli się spieszyć. Ale zachodziło pytanie, w jakim kierunku padnie drzewo podcięte? Jeżeli w poprzek rzeki, to cała praca pójdzie na marne. Jeżeli w poprzek międzymorza, stanie się dzielną, nieprzebytą ochroną przeciw nieprzyjacielowi.

Makalolosowie przypatrywali się pracy w trwożnym oczekiwaniu. Nakoniec olbrzym począł się chwiać. Wszystkie oczy skierowały się na jego wierchołek. O radości! pochyłał się w pożądaną stronę! Wkrótce z gwałtownym szelestem gałęzi olbrzym roślinny padł na ziemię. Niezmierniej wielkości pień przecinał zupełnie przystęp do półwyspu, zaledwie pozostawiając z obu stron kilka stopowe przejście. Za tą barykadą można było

śmiało czekać na przybycie nieprzyjaciela, który też nie długo dał czekać na siebie.

Zaledwo noc zapadła, ognie zapłonęły na równinie. Matabelesowie przybyli i czekali dnia, aby rozpoznać miejscowość przed wystąpieniem do walki.

Tymczasem jeszcze przed zatrzymaniem się w tym miejscu Makora wysłał czterech ochotników do pobliskich plemion niezależnych, z prośbą o pomoc.

Makora i jego plemię byli na bezpiecznym stanowisku, z którego ruszyć się już nie mogli, bez narażenia na pewną zgubę. Wiedząc że nieprzyjaciel nie odstąpi dobrowolnie od oblężenia. Nadzieję pokładano jedynie w pomocy którego z plemion nieprzyjaznych Matabelesom. Na ochotnika pierwszy w tej niebezpiecznej sprawie stawiał się Sindo, pragnący odzyskać względy wodza. Ochotnicy szli po dwóch, co godzinę jedni po drugich, aby nawet w razie schwywania jednych, jeszcze drudzy mogli wypełnić swe posłannictwo.

O świcie nieprzyjaciel przystąpił na małą odległość do obronnego obozu. Przez gałęzie baobabu myśliwcy ujrzeli gromadę potężną dzikich, najmniej w liczbie sześciuset. Makora mógł im przeciwstawić zaledwo dwustu pięćdziesięciu wojowników, ustawionych po obu końcach i wzdłuż całej barykady. Gdy dzień nastał, Matabelesowie podstąpili ku dwóm końcom barykady, gdzie były przejścia i gdzie stali najdzielniejsi Makalolosy. Rozpoczęła się walka; trwała dziesięć minut, poczem nieprzyjaciel odstąpił. To chwilowe zwycięstwo kosztowało życie ośmiu Makalolosom. Makora zachmurzył się. Matabelesowie mieli więcej ludzi do stracenia od niego. Wydobyć się ze swego położenia nie miał żadnego środka; a pierwsza napaść o mało że się nie udała. Taki był stan rzeczy, nad którym można się było zadumać.

W najlepszym razie, gdyby nawet posłańcy doszli do celu i wyjednali pożądaną pomoc, jeszcze pomocy tej nie można było się spodziewać prędzej, jak za trzy dni. Tymczasem strach przed gniewem Moselekatsego i chciwość łupu popchnąć mogły Matabelasów do najgwałtowniejszych wysiłków. Położenie było okropne.

Smutny wódz rozczulonym spojrzeniem wpatrywał się w swych dzielnych poległych wojowników, którzy tak padać mieli za każdą nową wroga napaścią. Czyliż zdoła wytrwać w takich warunkach? Wytrwać do chwili aż przybędzie oczekiwana pomoc, która mogła wcale nie przybyć... Ale mimo najsmutniejszych przewidywań i ciężkiego moralnego pogńębienia, Makora ani na chwilę nie zapominał o obowiązkach wodza, przewodnika i ojca swego plemienia, i nie za-

niedbał nic, co mogło w czémkolwiek pomódz jego podwładnym. Był wszędzie sam, każdemu dodawał odwagi, myślał o bezpieczeństwie wszystkich.

Dwie godziny upłynęły od pierwszego napadu. Matabelesów nie widać było więcej. Tylko ogniska rozpalone na szerokiej równinie dowodziły obecności nieprzyjaciół. Jednakże noc cała przeszła spokojnie. Myśliwi poczęli przekonywać wodza, że nieprzyjaciel dał za wygraną i odstąpił od oblężenia, i że można już wyjść z kryjówki i puścić się w dalszą drogę. Ale Makora stanowczo odrzucił tę radę. Znał on zawziętość i chytrych wojowników Moselekatasa. Pewien był, że celem ich właśnie jest wywabić go ze stanowiska, aby wymordować całe pokolenie, co do jednego. Dopóki jest choć najmniejsza nadzieja pomocy, byłoby niedarowanym błędem, opuszczać obecne stanowisko.

Rozumowanie Makory mogło być słuszne, to też młodzi myśliwi przystali na nie, zawarowawszy wszakże, że jeżeli przez godzin trzydzieści sześć nie pokażą się ani sprzymierzeńcy ani nieprzyjaciele, to Makora uda się w dalszą drogę.

XXXVII.

Nie zawcześnie i nie zapóźno.

Czas umówiony upłynął. Matabelesowie nie ukazali się, i nie było żadnej wiadomości od Sinda i jego towarzyszy. Natenczas młodzi myśliwi najzupełniej już byli przekonani, że nieprzyjaciel wrócił do swoich siedzib, straciwszy nadzieję pokonania gromadki przeciwników, bronionej dzielnością i rozumem ludzi białych! Makora nie miał tego przekonania; lecz raz dawszy słowo, dotrzymywał je po swojemu. Dalszy pochód został nakazany. Trzody pognano tak śpiesznie, jakby nieprzyjaciel nadchodził.

(D. c. n.).

Zadanie konikowe. (Ludwiś M).

wio	brzmi	w ser	sno	nu	ju	co	sno
ce	wio	taj	w ga	nam	wio	co	głos
już	spo	mi	ci	wni	ka	mi	cześć
taj	wio	ga	wi	ga	na	sło	i
dro	wro	wi	le	wi	ka	bo	ła
ty	już	sno	ci	taj	ją	ła	ro
już	ła	ro	ce	lą	sną	kwia	nie
sną	boś	na	wi	ty	wo	ce	zio

Łamigłówka liczbowa. (W Tr.).

Z 10 liter nazwisko znakomitego współczesnego pisarza. Przystawiając litery, otrzymamy.

- 9, 2, 3, Po rzece płynie.
- 10, 1, 2, 3, Nazwa jajek.
- 4, 1, 10, 2, Straszna choroba.
- 8, 5, 6, 7, Robota szwaczki.
- 10, 4, 1, 2, 3, Przedmiot błyszczący.
- 2, 3, 9, Zwierzątko.
- 7, 10, 2, Miejsce niebezpieczne.
- 9, 10, 2, Oznaka żaloby.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

- Zodyak
- Arno
- Kos
- Orfeusz
- Polipy
- Apis
- Nazaret
- Estremadura
- Zakopane — Koszysta.

Łamigłówki liczbowej:

- Jan Matejko
- Matka
- Jajko
- Majtek
- Kot
- Maj
- Mak
- Koma
- Teka
- Jama
- Naja

Odpowiedzi od Redakcyi.

Hanusi M. w Majkach. Liściki pisane dużemi literami, a nawet i w dwóch liniach, bardzo są dla nas miłe, niepostrzebnie też kochana korespondentka czekała, aż się nauczy pisać drobnemi literkami. *Kilo* jest to wyraz grecki, znaczy *tysiąc*, a kilometr jest miarą, mieszczącą w sobie tysiąc metrów. Na wszystkie zapytania czytelników naszych najchętniej odpowiadamy. Powiastki o małych chłopczykach

i dziewczynkach zamieszczamy w Dodatku dla młodszych dzieci, a co do komedyjek i dyalogów, tych już tyle drukowaliśmy, i w tym roku, i w latach ubiegłych, że jest chyba w czem wybrać. Pani Ciświcka, stała współpracowniczką naszego Pisma, przygotowała kilka nowych komedyjek dla kochanych czytelników „Wieczorów“ i niezadługo drukować je będziemy. Niedawno wyszła historia polska w rozmowach dla dzieci pod tytułem: *O szarej godzinie p. Z. Morawską*. W Piśmie naszym podajemy często opowiadania historyczne.

Anulce J. w Niszowcach. Jakaż to szkoda, że rozwiązanie zagadki historycznej się spóźniło, nie mogliśmy wspomnieć o niem we właściwem miejscu, tu więc już tylko zaznaczymy, że Józio J. z Niszowic nadesłał wyborne rozwiązanie zasługujące na nagrodę. Dzięki Bogu, że choroba, która mu przeszkodziła wykończyć w porę to wypracowanie szczęśliwie przemignęła, opóźnienie to łatwo będzie wynagrodzić, bo niezadługo zamieścimy inną zagadkę historyczną. Mamie przesyłamy ukłony.

Zosi S. w Radzikach. Nie sądziliśmy, ażeby potrzeba było tak wielkiej odwagi do przesłania nam liściku, zwłaszcza jeżeli ktoś tak ładnie i starannie pisać umie. Serdeczne podziękowanie przesyłamy nauczycielce za dobrą radę daną uczennicy i prosimy bardzo, aby tak miła dla nas korespondencya nie zakończyła się na tym jednym liściku. Rozwiązanie łamigłówki jest trafne.

Helence S. w Czuczelicach. Za liścik, sliczną kaligrafią napisany, serdecznie dziękujemy. Radziłyśmy bardzo dowiedzieć się, która to komedyjka była z takim powodzeniem odegrana. Właśnie jedna z naszych współpracowniczek obiecała nam kilka nowych komedyjek, cieszymy się więc, że będziemy mogli życzeniu korespondentki naszej dogodzić. Autorka Gwiazdki węgierskiej i innych powieści, rada niezmiernie, że utwory jej tak się czytelnikom podobają, przygotowuje też dla nich nowe powieści, które jeszcze w roku bieżącym będą drukowane.

Rózi D. w Berdyczowie. Wyborne szarady i zagadki dla tego nie wszystkie jeszcze były drukowane, że nie chcieliśmy wyczerpywać dawnego zapasu, nie mając nowego w pogotowiu. Musimy też zamieszczać kolejno w Pisemku utwory innych współpracowników naszych w tym dziale ale o takie doskonałe zagadki nie łatwo i bardzo prosimy o nas nie zapominać. Sześcioletniej Broui serdeczny uścisk przesyłamy, czekając niecierpliwie obiecanego liściku, który się ma tak pięknie zaczynać.

Jasiowi M. w Sachodolach. Z nadesłanych do rozporządzenia naszego 4. rs. trzy oddaliśmy ubogiemu wdowcowi, ojcu siedmiorga dzieci, który jest w wielkiej nędzy, rubla zaś biednym chorym w szpitalu. Za tę hojną jałmużnę w imieniu ubogich zasyłamy serdeczne Bóg zapłać. Z przyjemnością odczytaliśmy liścik napisany starannie, bez żadnej omyłki; radzimy pisać jaknajdłużej powoli i dużemi literkami, bo tym sposobem tylko można nabyć wprawę, a ładne i wyraźne pismo niemałą jest zaletą. Przy każdym odnowieniu prenumeraty, lub żądaniu jakiej przesyłki, należy wypisywać adres jaknajdokładniej, gdyż odszukiwanie go w książkach jest dla nas bardzo uciążliwe. Dziękujemy też ojcu, że synka na ten raz wyręczył.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



CHŁOPCZYK I JASKÓŁKA.

CHŁOPCZYK.

— Jaskóteczko moja miła,
Zkąd powracasz, zkąd?
Powiedz, kędyś się bawiła,
Odleciawszy ztąd?

JASKÓŁKA.

Nad morzami, nad górami,
Cudownemi tak,
Że ludzkiemi to słowami
Wyrzec, słów tych brak.

CHŁOPCZYK.

O jaskółko! choć szczęśliwie
Było tobie tam,

Przykro słuchać na tej niwie
Cudziej chwalby nam:

Jeśli dobrze ci tam było,
To wróc sobie, wróc,
Nad krainą tobie miłą
Twoje chwalby nuć!

JASKÓŁKA.

Choćby jeszcze gorzej było
Tu niżeli tam,
Jeszcze wrócić tutaj miło,
Bo tu gniazdko mam.

Gniazdko, w którym jam zrodzona.
A już chyba głaz
Nie zapragnie, zanim skona
Wrócić doń choć raz.

Azet.

PRZYGODY RODZINY MYSZEK.

(Dokończenie).

— Wiesz zapewne, kochanko — mówiła myszka kasztanowata — że jesteśmy z sobą w bliskim pokrewieństwie. Ja jestem myszka karłowata, najmniejsza z całej naszej rodziny; mieszkam tu w polu, urządziłam sobie ładne gniazdeczko okrągłe na badyłu, utkałam je ze ździebełek zbożowych, wysłałam suchemi listeczkami i trawką, bardzo to jest miłe i wygodne mieszkanko; zaprosiłabym cię chętnie, ażebyś w niem troszkę wypoczęła, ale boję się, bo ty jesteś znacznie cięższa odemnie i mogłaby się podłoga pod tobą zawalić. Ale coś ty, kochanko, mizernie wyglądasz, musiałas być źle żywiona. Pokazano ząbki, oho! zgadłam, już troszkę zanadto wyrosły.

Myszka domowa zadziwiła się, słysząc te słowa, była ona jeszcze bardzo młodziutka i niedoświadczona.

— Tak, tak, już wiem, co to jest — mówiła dalej mysz karłowata, kiwając główką — musiałas przez dni kilka jeść same miękkie rzeczy i dla tego ci się zęby tak wydłużyły. Czy nie mówiła ci matka, że nasze zęby ciągle rosną i że je trzeba starannie ścierać, gryząc twarde pokarmy, bo inaczej mogą się pozaginać i wtenczas niezdatne są do jedzenia. Szkoda, żeś tak wcześniej odbiegła od matki, bo nie miała czasu wychować cię, jak należy. Ale gdzież to się tak śpieszysz, kuzynko?

— A cóż mam robić — odrzekła myszka domowa — podjadłam trochę tych smacznych ziarenek, pójdę teraz do swojej jamki pod drzewo.

— Poczekaj — mówiła tamta — czego masz siedzieć sama jedna w jakimś ciemnym zakątku. Patrz, jaka śliczna pogoda, lepij chodź ze mną na przechadzkę, ja ci pokażę, czém to porządna myszka może się wyżywić w polu.

Mówiąc to zawołała na swoją dziatwę. Kilka malutkich myszek zbiegło szybko z wierchołka badyła, na którym gniazdko było urządzone i całe towarzystwo wyruszyło na przechadzkę na cały dzień.

Nasza młoda myszka wieczorem dopiero o zmroku powróciła do swojej dziurki pod drzewem, uszczęśliwiona z tej nowej znajo-

mości. Całe lato spędziła w sąsiedztwie uprzejmiej swojej kuzynki, zapoznała się wkrótce z innymi myszkami polnemi i bardzo jej tam było dobrze i wesoło. W letnich miesiącach miała podostatkiem zboża, a w jesieni było znów pełno żołędzi i orzechów w lesie, a po ogrodach mnóstwo smacznych owoców.

Ale nadeszła zima, pochłodziło strasznie na dworze, śnieg pokrył ziemię i biedna nasza myszka nie mogła nic znaleźć do jedzenia. Rodzina karłowatych myszek rozbiegła się i usadowiła po różnych zakątkach na zimę. Mateczka wynalazła sobie kryjówkę podziemną, młodzież żwawsza i śmielsza, szukała schronienia w gumnach, a nawet i w mieszkaniach ludzkich. Znajoma nasza, myszka domowa postanowiła powrócić do rodzinnej swej piwnicy.

Wybrała się więc pewnego rana, przebiegła znów tę samą drogę, którą kiedyś umykała przed drapieżnym kotem i drżąc od zimna, cała śniegiem przypruszoną, zajrzała do okna piwnicy. Okno to było słomą zatkane na zimę, ale myszka jakoś się przez małą szparkę przecisnęła, a gdy dostała się na koniec do środka, usłyszała ze wszystkich stron znane głosy swoich krewniaczek.

— Co tu się u was dzieje? — zapytała jednej myszki, która obok niej przebiegła — czego tak hałasujecie?

— Cóż to, nie wiesz — odrzekła tamta — że u nas teraz w całym domu niema ani jednego kota? Wyprawiamy z tego powodu wielką uroczystość, wszystkie myszy z sąsiedztwa są proszone, bo dziś my tu jesteśmy gospodyniami. Przybywasz więc w samą porę, chodź ze mną, oto jest wyborny serek i dużo innych przysmaków wszystko to nasze.

Tymczasem mnóstwo myszek schodziło się ze wszystkich stron, a każda gryzła coś w ząbkach, to rodzynek, to odrobinę sucharka, lub cukru. Zasiadły wszystkie naokoło dużego okrągłego sera, czekano już tylko na przybycie jednej myszki powszechnie szanowanej, aby rozpocząć ucztę. Po chwili usłyszano szmer, oczekiwana myszka zbiegła z wysokiej beczki i zbliżyła się do towarzystwa; trzymała w zębach kawałeczek szynki. Powitano ją bardzo przyjaźnie, a nasza znajoma poskoczyła do niej z wielką radością.

— Mamo! jak się masz, mateczko! — zawołała, ale tamta cofnęła się i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Cóż to, nie poznajesz mię, mammo? —

mówiła młoda myszka zafrasowana — ja jestem córeczka twoja, siostrzyczka tój małej, co utonęła w mleku, pamiętasz?

— Jaktol więc to ty jesteś, kochanko? — zawołała mateczka uradowana — gdzieżeś ty była przez całe lato? doprawdy nigdybym cię nie poznała, tak się zmieniłaś i wyładniałaś.

Młoda myszka opowiedziała wszystkie swoje przygody, a matka rada, że powróciła szczęśliwie do domu, nie wyłajała jój za nieposłuszeństwo; myszka, jak pamiętacie zapewne, bez pozwolenia wymknęła się była do ogrodu.

Po sutój wieszce rozpoczęły się tańce, a potem wszystkie myszki, które latem odbywały wędrówki, opowiadały, co im się przytrafiło w drodze.

Jedna o mało nie utonęła, przechodząc przez strumyczek, inna napotkała kota, ale na szczęście zdążyła umknąć w dziurkę, z nim straszny zwierz zdążył ją łapą swoją dosięgnąć. Inna znów chwaliła się, że jój się udało wymknąć z pułapki.

Nasza znajoma opowiadała, jak przyjemnie czas spędzała w towarzystwie kuzynki swój, myszki karłowatej, jakie wyborne przysmaki zajadała w polu i w lesie. Myszki słuchały z wielkiem zajęciem i niejedna już naprzód sobie układała, żeby na przyszłe lato wybrać się na wieś na kilka miesięcy.

Niech każdy pilnuje tego,
co do niego należy.

Kasia szyła prześliczną suknię dla lalki z białej i różowej delikatnej gazy, a Jaś ujeżdżał nowiuteńkiego konia na kółkach.

— Ej, sprzykrzyło mi się siedzieć nad tój szyciem — rzekła Kasia — szyj no teraz ty, Jasiu, troszeczkę, bo mojej lalce pilno sukni potrzeba, a mnie pozwól konia twego ujeżdżać.

Grzeczny Jaś posłuchał. Kasia zaczęła dokazywać na koniu, udając amazonkę, aż w tój sukieneczka zaplątała jój się w koło jedno, Kasia się schyliła, szarpnęła, koń się z nią przewrócił i przygniótł ją; szczęście jeszcze, że nie był duży i prawdziwy, bo byłby ją na śmierć mógł przygnieść i zabić.

Wydostawszy się z pod konia, poszła Kasia zobaczyć robotę brata, patrzy, a gaza cała pościągana, podziurawiona tak, że wstyd byłoby włożyć taką suknię na lalkę. Kasia nie miała nawet serca wymówki robić bratu,

bo on biedaczek chciał szyć jak najlepiej, tylko nie umiał obejść się z igłą i z gazą, zwyczajnie, jak chłopczyk.

Zmartwiła się dziewczynka i smutno oglądała zniszczoną suknię. A tymczasem Jaś również smutno oglądał swego konia, któremu się ogon szkaradnie nadwerekzył w upadku. Ale i Jaś wymówki siostrze nie robił, bo także rozumiał, że Kasia szkody konikowi zrobić nie chciała, tylko nie umiała się z nim obejść, zwyczajnie, jak dziewczynka.

Nie skarżyły się dzieci przed nikim, tylko pocichu same sobie przyrzekły, że już nigdy nie będą się zajmować cudzemi sprawami, lecz własnych swoich pilnować.

Azet.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,
wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Na to powiedziała sama pani Poncetowa, że w istocie Japończycy są razem i dzikimi, i wysoko wykształconymi ludźmi, bo taka jest już ich, i ich kraju natura, że pełno tam jest dziwnych sprzeczności. A w tój znów skęccono w bok i Józia niezadługo oniemiała z podziwu, znalazłszy się nagle wśród mnóstwa uliczek krętych, ciasnych, i tak obrzydliwie brudnych, a wrzawą i krzykliwym tłumem napełnionych i swędem z gotujących się potraw na ulicy, na przenośnych piecykach, że natychmiast dziwić się przestawszy małą podróżniczka poznała, że przejeżdża przez chińską dzielnicę w Yokohamie, bo już widziała takie właśnie rzeczy po chińskich miastach. Tymczasem ludzie i konie w pędzie, boki ledwo zawadziwszy o tę chińszczyznę, pędzili już po szerokiej drodze, usypanej muszlami rozbitemi tak, jak u nas szosy usypują się drobnymi kamieniami i ubijają, z tą różnicą, że japońska ta wielka droga błyszcziała na słońcu rozmaitemi barwami tak, jakby dyamentami ją wybrukowano.

Jeszcze Józia nie zdążyła napatrzeć się tój wspaniałej drodze, gdy ujrzała przy sobie stojący domek japoński, otoczony cudownie pięknym ogródkiem lalek, zupełnie takim, jak ogródek państwa Poncetów. W ogródku tym pełno było ludzi, a z pomiędzy ludzi i roślin, wysoko ponad bujnym kwiatem okrytymi malutkimi drzewami, sterczało coś nakształt tyki, na szycie tój tyki leżał w powietrzu człowiek, tak właśnie, jakby plecami był na tykę wbity. Ten człowiek miał nos

tak wielki i leżąc trzymał go tak prosto w górę, że straszny ten nos sterczał znów wysoko, jak druga żerdź, a na jego szczycie leżał znów inny człowiek, który trzymał w jednej ręce arkusz cieniutkiego białego papieru, a w drugiej wachlarz, i poruszał nad sobą tym wachlarzem, chłodząc się, a wielka ilość białych motyli fruwała naokoło niego.

W chwili, w której powozy przesuwaly się bardzo blisko tego człowieka, pan Poncet podniósł się w woziku i rzucił mu zręcznie pieniądz, który on pochwycił na swój wachlarz, pan Poncet ręką wskazał mu powóz, za sobą jadący, i człowiek ów natychmiast poruszył swój wachlarz pomiędzy motylami, a motyle wszystkie frunęły prosto ku powozowi i obsiadły dwie jadące w nim panią. Ów człowiek tymczasem, skubiąc ów papier, który trzymał, puszczał w mgnieniu oka na świat inne motylki...

Józia, jak odurzona, dotknąwszy ręką motylków, które ją obsiadły, przekonała się, że były z papieru... Tymczasem powozy pędziły, a Matylda tłumaczyła Józii, że domek ów przydrożny był herbaciarnią, tak, jak w innych krajach bywają kawiarnie; ale był zarazem i domkiem ogrodniczym, i dla tego miał ten ogródek lalek, bo takie karłowate drzewka są dziełem biegłego ogrodnictwa. Ludzie z miast lubią niezmiernie na przechadzkach od rana do nocy uczęszczać do takich herbaciarni i w nocy także, bo to są zarazem hotele japońskie, w których się nocuje. Ludzie zaś, z wielkimi na kilka łokci nosami, są to kuglarze japońscy, najzręczniejsi ze wszystkich kuglarzy na świecie; chodzą oni po herbaciarniach dla zarobku, bo tam zawsze znajdują szcudrych widzów. Ci kuglarze umieją wyprawiać nieprzeliczoną moc różnych kuglarstw, które naprawdę są tylko niepojętej zręczności dowodem. Sztuka z motylami jest jedną z najpospolitszych; sztukmistrz w jednej chwili robi do złudzenia podobne do naturalnych motylki z papieru i powiewając swym wachlarzem, kieruje ich ruchami, zmusza je fruwać, jakby prawdziwe. Co do nosów, te są sztucznie przyprawne, ale kuglarze kryją się z tém, utrzymując, że są to ich własne nosy prawdziwe. Matylda dodała, że owa najpierwsza żerdź, wystająca z pomiędzy kwiatów i ludzi, była także takim nosem, którego właściciela nie widać było, bo był sam ukryty.

Józia, zasłuchana w opowiadaniu Matyldy, spoglądając przytém ciągle na szybko odda-

lającą się tłumną herbaciarnię, którą miała przed oczyma, bo siedziała oczywiście na przodzie powozu, aż nagle krzyknęła przeraźliwie i chwyciła Mamę za ręce, głowę kryjąc na jej kolanach; przytuliła ją Mama przestraszona także i wszyscy obejrawszy się tam, gdzie wprzódy ona patrzyła, pojęli odrazu przyczynę jej przestraszu.

Rzecz była przerażająca a w dodatku brzydka; od herbaciarni pędził za oddalającym się powozem jeden z kuglarzy z tym strasznym długim nosem, o którym dopiero co mówiono; widocznie zachęcony sutym panem Ponceta datkiem, rzuconym mu poprzednio, chciał jeszcze się z kuglarstwem popisać, musiał też być znakomitym biegaczem, bo za chwilę już konie dopędzał, nie bardzo co prawda prędko biegnące. Motylki frunęły z nim razem, bo je ciągle wachlarzem swym popędzał. Ale nos jego, który poprzednio przed herbaciarnią, gdy kuglarz leżał w powietrzu na drugim swego kolegi nosie, zdawał się być tylko prostą tyką, teraz u biegnącego człowieka tak doskonale nos prawdziwy udawał, że można się nim było przerazić nie żartem.

(D. c. n.).

ZAGADKA.

Pięknie czyta z książeczki,
Stroi sobie lalczki,
Jest pomocą dla matki,
Pociechą swego tatki,
Stworzonko to Boże,
Jak też zwać się może?

Złociuszyka

Złociuszyka (M. Ł.).

- Złociuszką r rzeka w Europie.
- Złociuszką l roślina pożyteczna.
- Złociuszką s marzenie.
- Złociuszką t zaimek.

Rozwiązania do Nr. 28-go

Zagadki:

Rzeka Świder.

Złociuszyki (M. Ł.):

Nie czyni drugiemu co tobie nie miło.